

Nr. 40. — Rok XXVI.

Dnia 24 Września (7. Października) 1905 r.



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci  
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



S. p. SEWERYNA DUCHŃSKA.



# Seweryna Duchńska.

(1816 — 1905).

Zbyt wielkie zajęła miejsce w piśmiennictwie dla młodzieży, jako pierwsza następczyni Klementyny z Tańskich Hofmanowej, zbyt poważne w swoim czasie spełniała zadania w literaturze ogólnej i ruchu umysłowym naszego społeczeństwa, zbyt bliskie i serdeczne wreszcie związki łączyły z naszym piśmem sędziwą poetkę i autorkę, zmarłą przed dwoma miesiącami w Paryżu, abyśmy się mogli zadowolnić krótkim tylko i suchym o niej wspomnieniem.

Uważamy za słuszne i konieczne poświęcić jej większą część dzisiejszego numeru, aby utrwalić u czytelników naszych pamięć tej, która

Z niezłomną wolą, sercem niezgasłym  
Wśród półwiekowej zawiei,  
Przez życie przeszła pod świętem hasłem:  
Wiary, miłości, nadziei.

Najmłodsze pokolenie współczesne nie zna już jej „Rozrywek dla młodocianego wieku“, nie pozna też pewnie jej powieści oryginalnych i wielu artykułów literackich po piśmianach rozrzuconych, ale czytać będzie jej poezye i piękne artystyczne tłumaczenia znakomitszych utworów poetów francuskich i hiszpańskich. Powinni jednak wszyscy wiedzieć i pamiętać tę, od której tyle szlachetnych myśli i uczuć czerpali ich ojcowie i matki, a nawet poprzednie jeszcze pokolenie.

Zresztą dla czytelników „Wieczorów“ imię to jest bliższe niż dla innych, bo Duchńska, złączona stosunkami przyjaźni i pokrewnością uczuć z Aleksandrą Borkowską, M. J. Zaleską i ich następcami w redakcyi, uważała nasze piśmo, jakby za dalszy ciąg swoich *Rozrywek*, i w niem przez lat dwadzieścia zamieszczała utwory swoje dla młodzieży przeznaczone. „Wieczory“ w r. 1897 drukowały jej „Wspomnienia młodości“, a w 1900 r. ostatnią dłuższą pracę „Wspomnienia pani Łowczyny“, której rękopis, własną choć drżącą ręką skreślony, jako ceną przechowujemy pamiątkę.

REDAKCJA.

## Z życia Seweryny Duchńskiej.

W wielkiej sali Koszajeckiego dworu\*) czarnym kirem zasłonięto ściany, pośrodku stoi katafalk, na nim trumna, w której spoczął dziedzie Koszajec p. Żochowski.

\*) Koło Sochaczewa.

Na stopniach katafalku ukłękła dziewczynka siedmioletnia, obok kobieta lat średnich, obie w grubej żałobie: to żona zmarłego i jego jedyna córeczka Seweryna

Obie rzewnie płaczą, lecz jakże nie płakać, gdy w tej trumnie leży ich najczulszy opiekun, ich mądry doradca i wierny przyjaciel.

Wtem rozległy się ciche kroki, do żałobnej komnaty wszedł mężczyzna wysoki, z głową siwizną przypruszoną; zgiął kolana przed katafalkiem, chwilę się modlił, poczem położył dłoń na ramieniu pani Żochowskiej i odezwał się zniżonym głosem:

— Pragnę z wami pomówić.

Pani Żochowska podniosła się i przeszła do dalszych pokojów, za nią pośpieszyła Sewerynka; tam dziewczynka rzuciła się przybyłemu na szyję z głośnym szlochaniem.

— Nie mam już tatasia, stryjcju! — zawołała — jestem biedna sierotka.

— I twoja mamusia jest bardzo biedna, nie powinnaś o tem wspominać — odparł p. Feliks Żochowski — spójrz na nią, jaka blada. Powinnaś otoczyć ją opieką i kochać bardzo, żeby się nie rozchorowała.

Dziewczynka otarła łzy natychmiast, do matki pobiegła, usiadła u jej nóg i po rękach całować poczęła.

— To niedosyć całować, — odezwał się stryj, patrząc na nią z miłością, — trzeba jeszcze, żebyś pomagała mamie, bo mamusia będzie miała teraz o wiele więcej do roboty, niż dawniej, trzeba żebyś ją cieszyła swoim postępowaniem i pilnością, gdyż mamusia będzie miała teraz wiele więcej trosk.

Sewerynka podniosła na stryja duże, rozumne oczy.

— Będę zawsze dobra i będę zawsze pilnie się uczyła — odparła poważnie.

I dotrzymała słowa: siedmioletnia dziewczynka stała się w istocie pociechą, jasnym promykiem ciężkiego życia matki.

Pan Żochowski pozostawił żonie obszerny majątek, lecz obciążony długami; namawiali sąsiedzi wdowę, by sprzedała wieś i kłopotu się pozbyła, lecz ona odpowiedziała, że tego nie uczyni i zabrała się odważnie do pracy.

Sama siewów i zbiorów na polu pilnowała, sama zajmowała się ogrodem i gospodarstwem domowym, czuwała też pilnie nad ludem, kochali ją wieśniacy, żony ich i dzieci nazywali ją: *Dobrą paniusią*.

Czuwała też sama i nad córką, bo chociaż przyjęła do niej stałą nauczycielkę, jednakże każdego dnia spędzała z Sewerynką kilka godzin na wspólnej pracy, lub wspólnej rozmowie.



Wiosną i latem zawsze razem szły o siódmej rano na łąki lub do lasu po zioła lecznicze, a jesienią i wiosną już wysuszone układały w porządku w szufladach domowej apteczki.

Seweryna знаła tak dobrze szafę z lekarstwami, że gdy w naznaczonej przez matkę godzinie popołudniu przyszedł ktoś ze wsi, a matka powiedziała do niej:

— Podaj mi z apteczki szalwii lub macierzanki — nie omyliła się nigdy.

Po rannym spacerze dziewczynka zasiadała zawsze do lekcji z nauczycielką. Stryj kilka razy do roku odbywał z nią egzamina i zawsze bywał zadowolony ze swojej bratanki.

Tak mijał czas cicho, pracowicie. jednostrajnie, biegły miesiące i lata, nareszcie Sewerynka skończyła rok dwunasty.

W dzień urodzin jedynej córki ukochanego brata przyjechał do Koszajec pan Feliks z przesliczną książką, napisaną przez Klementynę Tańską, uściskał dziewczynkę, dar i życzenia jej złożył; poczem zaczął rozmowę z matką, a Sewerynka, jak zwykle w takich razach, u nóg matki usiadła.

— I cóż pani bratowa myśli dalej robić z panną? Czas by jej poważniej zacząć się uczyć; panna Rapacka chwali, że ma zdolności, nie wolno nam zmarnować tych Bożych darów, — odezwał się stryj, kręcąc wąsa.

— Jam już myślała o tem, — odparła pani Żochowska — panna Rapacka za mąż wychodzi, trzeba coś postanowić. Słyszałam tyle o pani Wilczyńskiej w Warszawie; czekałam tylko na pana brata, by zapytać, czy panny nie odwieźć na pensję.

Sewerynka zarumieniła się i przestraszonymi oczami spojrzała na matkę, chciała zawołać.

— Mamuniu! zmiłuj się! nie wywieź mnie z domu!

Lecz stryj ją uprzedził.

— Będzie pusto w domu, smutniej jeszcze niż dawniej — odezwał się tonem perswazyi — taka dzierlatka to zanuci czasami, to zaśmieje się serdecznie.

W oczach Seweryny zaświeciła nadzieja, wzrok pełen wdzięczności podniosła na stryja, zasmuciła się wszakże rychło.

— Nie o sobie myślę panie bracie, lecz o niej — odparła cicho p. Żochowska — jestem jej matką, muszę jej ułatwić drogę, by mogła z czasem służyć pożytecznie ziemi swej i społeczności.

Dziewczynka spuściła oczy, już nie śmiała prosić. Matka tak często mówiła jej, jak poważne w przyszłości czekają ją obowiązki, jak będzie musiała wszędzie ją zastąpić, bo jest jedyną spadkobierczynią Koszajec, więc przyszłą

opiekunką ziemi, na której się urodziła, i jej mieszkańców...

\* \* \*

Drżąca i splakana wchodziła Sewerynka do pensjonatu pani Wilczyńskiej w Warszawie.

— Czy przełożona w domu? — zapytała pani Żochowska służącego.

Ten wskazał drzwi, prowadzące do gabinetu. Zrzuciły okrycia i weszły tam razem; Sewerynka trzymała mocno matkę za rękę, pełnym niepokoju wzrokiem obiegła gabinet: w głębi obok biurka ujrzała poważną damę w wielkim czepcu białym, ustrojonym ciemną wstążką, o twarzy śniadej, pełnej zmarszczek i śladów ospy.

Serce jej poczęło bić mocno, do oczu łzy nabiegały, spuściła powieki, postanowiła nie spojrzeć więcej na ową panią.

Pani Wilczyńska, spostrzegłszy obcych, podniosła się uprzejmie.

— Jestem Żochowska — przedstawiła się matka Seweryny — przywiozłam moją córkę, by pani wykierowała ją na zacną niewiastę. Sama będąc wdową i właścicielką majątku, zajęta gospodarstwem, nie mam czasu oddać się jej zupełnie.

I siadły obok siebie, rozmawiając, dziewczynka nie patrzyła na przyszlą swoją przełożoną, mimo to ogarniała ją coraz większa rozpacz.

— Czy się mnie boisz? — zapytała ją naraż pani Wilczyńska.

Głos jej brzmiał tak dziwnie słodko, iż Sewerynka spojrzała mimowoli na mówiącą i dostrzegła na jej ustach taki miły uśmiech, a w oczach tyle dobroci, że w jednej chwili zaszła w niej zmiana: pochyliła się do śniadej, chudej ręki sędziwej kobiety i rzekła:

— Teraz już się nie boję.

Pani Wilczyńska objęła ją ramieniem i czule pocałowała.

— Ja bardzo kocham dzieci i młodzież — odparła.

Seweryna zawstydziała się uczuć poprzednich, jeszcze tkliwszy pocałunek złożyła na rękę przełożonej, jakby przeprosić ją chciała.

I bez łez rozstała się z matką, a nawet stała się wkrótce jedną z weselszych pensjonarek.

Oddawna tęskniła za towarzystwem do wieku swego stosownem, tutaj znalazła grono rówieśnic, zaprzyjaźniła się z niemi bardzo prędko i w pierwszym liście do matki napisała.

„Na pensyi trudno smucić się i tęsknić, taki wesoły gwar zawsze tu panuje“.

Ale to otoczenie hałaśliwe, swawolne sprawiło, że poczęła opuszczać się w naukach i w dzienniczku zjawiały się często złe stopnie; próżno pani Wilczyńska kołatała do ambicyi



Seweryny, próżno karała złemi notami, opuszczała się coraz bardziej.

Uwiadomiono matkę o zaniedbaniu się je-dynaczki w naukach, pani Żochowska napisała do niej surowy list i zagroziła, że za karę na święta Bożego Narodzenia do Koszajec nie przyjedzie, na razie dziewczynka zasmuciła się. przyrzekła poprawę, lecz wkrótce lenistwo znowu zwyciężyło.

Wielką przeszkodą w przygotowaniu lek-cyi na dzień następny bywały dla Seweryny książki; lubiła bardzo czytać, usłużne przyja-ciółki z przychodnich uczennic dostarczały jej coraz inne; więc zwykle w poobiednich godzinach Seweryna trzymała dwie książki w ręku, na gramatyce francuskiej leżał naprzy-kład otwarty „*Wiesław Brodzińskiego*”; zamiast uczyć się konjugacyi, zachwycała się sielanką.

Pewnego wieczoru, gdy właśnie w taki sposób przygotowywała lekcję na dzień nastę-pny, pani Wilczyńska oddała jej list.

— Od stryjka! — wykrzyknęła radośnie — całując kopertę.

Zaczęła czytać, naraz wybuchła głośnym, serdecznym płaczem.

Przeraziły się koleżanki, zbiegły się do koła niej.

— Czy mama chora? — zapytywały jedne.

— Czy zdarzyło się w domu jakie nie-szczęście? — dodały drugie.

Sewerynka list zmięła, wsunęła do kie-szeni, otarła łzy.

— Nic, nic, — odparła — nic się w domu nie stało, mama zdrowa, muszę się uczyć.

Następnie wrzuciła do szuflady stolika *Dziennik Franciszki Kraszińskiej*, zatkała uszy i na cały głos niemieckich rozmówek uczyć się zaczęła gorliwie.

„Dzisiaj deszcz pada — „*Es regnet heute*“ powtarzała.

Koleżanki spojrzały na nią zdumione.

Dopiero, gdy szły parami do sypialni, Se-weryna, oparłszy się na ramieniu przyjaciółki, rzekła do niej zniżonym głosem.

— Wyobraź sobie, co mi stryj napisał:

„Przyjadę do Warszawy na egzamin i po-pis, gdyż pewien jestem, że nagrodę otrzymasz“

— Co ja teraz zrobię nieszczęsna; nie masz pojęcia, jak mnie ta myśl dręczy, że sprawię mu zawód i przykrość, ja go tak kocham.

— Masz jeszcze trzy miesiące do egzami-nu, takaś zdolna — odparła przyjaciółka.

— Ja też powiedziałam sobie: „Będę się teraz uczyła, muszę zdać świetnie egzamin“.

\* \* \*

W dzień popisu ludno było w sali pani Wilczyńskiej, bo rodzice otrzymali zaproszenie, aby na akt ten przybyli.

Wszystkie uczennice ubrane były w białe sukienki, profesorowie z przełożoną i panną Tańską, wizytatorką szkół, zasiedli przy stole, zie-lonym suknem nakrytym, na którym leżały nagrody.

Zarumieniona ze wzruszenia, ale smutna widocznie, stała wśród koleżanek Seweryna. Odebrała dnia poprzedniego list od matki, w któ-rym pani Żochowska oznajmiała, że nie przy-jedzie na popis.

— Pocóż mam być świadkiem twego nie-powodzenia? — pisała.

— A może i stryjek mi nie ufa i nie przy-jedzie — myślała w duchu.

W tem ponad głowami innych naprzeciw siebie ujrzała siwą głowę pana Feliksa, oczy jej zabłyśły radością, omal nie krzyknęła:

— Stryjek!

Ale się opamiętała, spojrzenia ich spotka-ły się i posłały sobie powitanie.

Jego oczy były smutne, mówiły:

— Dziecko, lękam się o ciebie.

Jej rozradowane, odpowiedziały:

— O jakiś ty dobry, muszę cię ucieszyć.

Ruch zrobił się w sali, profesorowie, panna Tańska i pani Wilczyńska, wszyscy z publi-czności powstali z krzesel, uczennice głębokie ukłony złożyły: to biskup wszedł, zajął pierw-sze miejsce i zwróciwszy spojrzenie na białe grono dziewczątek, niby grupę białych lilii, uśmiechnął się do nich.

— Rozpoczniemy akt — rzekł.

Dziewczynkom zabiły serca, a najmocniej Sewerynie, bo prawie jednocześnie usłyszała swoje imię i nazwisko, wezwał ją do stołu profesor historii, podeszła drżąca i wzruszona; pan Feliks usunął się pod ścianę, spostrzegł bowiem jej bladłość.

Profesor zapytał Sewerynę o wojny Pu-nickie, kazał cały przebieg ich opowiedzieć, przyczynę i następstwa, ona śmiało poczęła mó-wić i do końca ani razu nie zatrzymała się, prowadząc rzecz swoją zwięźle, ściśle i płynnie, pan Feliks słuchał zachwycony.

— I czego matka skarżyła się na nią? — rzekł do siebie.

Znowu piękna siwa jego głowa nad inne podniosła się: spoglądał z tryumfem po twa-rzach matek i ojców uczennic, z miłością na swoją bratankę.

Ośmieleni powodzeniem Seweryny w hi-storyi, inni profesorowie zadawali jej też pytania, na każde odpowiadała dobrze.

Panna Tańska wyciągnęła do niej książkę, w czerwony safian oprawną.

— Zasłużyłaś na nagrodę! — rzekła.

Seweryna pochyliła głowę, zarumieniona, tkliwy pocałunek złożyła na jej ręku.



— Niezupełnie — szepnęła.

A panna Tańska uczuła łzę na swej dłoni.

Lecz pani Wilczyńska wezwała teraz następną uczennicę i profesorowie zadawali znowu pytania, Sewerynka cofnęła się między koleżanki, które szeptały do niej.

— Winszujemy, winszujemy!

\* \* \*

Lat wiele upłynęło od owego popisu, do Warszawy dobiegła wieść, że Seweryna Żochowska wyszła za męża, że pracuje pożytecznie na wsi, że kmiecie ją szanują i kochają, mąż chlubi się nią, a matka z radością spogląda na nią i odpoczywa przy niej spokojnie.

Pewnego dnia weszła do redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* młoda osoba elegancko ubrana, ze zwojem papierów w ręku. Dwu mężczyzn przy biurku siedziało: redaktor pisma i Jan Kazimierz Wojcicki, znany literat i zbieracz podań i klechd ludowych.

Młoda dama zwróciła się szybko do niego i podała mu dłoń na powitanie; on spojrział na nią widocznie zdziwiony.

— Jak widzę, nie poznaje mnie pan, — odezwała się z uśmiechem — dawna uczennica u pani Wilczyńskiej, Seweryna Żochowska dziś Pruszkowa.

— Panna Seweryna! — wykrzyknął Wojcicki — jakżem rad widzieć panią, i przysunął jej krzeszło, począł pytać, jak dawno poszła za męża, gdzie mieszka, jak się miewa jej matka, poczem naraz zapytał.

— Lecz cóż panią do redakcyi sprowadza?

— Przywiozłam swoją pracę, — odparła — za przykładem mistrza zaglądałam do chat kmiecyh i zbierałam podczas tych odwiedzin sporą wiązką podań, oraz baśni, tę wiązkę przywiozłam: może redakcyja zechce pomieścić je na szpaltach *Biblioteki*.

To mówiąc, zwróciła się do redaktora i podała mu zwój papieru.

— Wdzięczny jestem każdemu, kto współpracownictwem wspiera moje pismo — odparł, chyląc czoło.

— Odważną z pani kobieta — odezwał się Wojcicki.

Seweryna zarumieniła się.

— Czy nie sądzisz pan, żebym potrafiła pisać? — spytała niespokojnie.

— Ależ nie zrozumiałaś mnie pani — odparł żywo Wojcicki — do najzdolniejszych moich uczennic liczyłem panią zawsze. Zupełnie co innego miałem na myśli, mianowicie przykrości naszego zawodu... Chce pani zająć miejsce w pośród literatów, a dola nasza twarda. Garść ludzi u nas czyta, wyższe sfery najczęściej obcą literaturę popierają, swojską lekceważą, więc spotykamy na swej drodze albo obojętność, albo

ironię; kobiet auterek jeszcze gorsza dola, bo na nie ogół spogląda z uprzedzeniem pomimo zasług Hofmanowej.

— Nie przestraszy mnie pan — odparła Seweryna — nie o sławę mi idzie, ani o rozgłos, lecz zupełnie o co innego, zdaje mi się, że mam pewien talent, w głowie myśli wiele, którymi pragnę się podzielić z innymi, dlatego za pióro ujęłam.

Miesiąc upłynął od owego dnia, i w Bibliotece Warszawskiej ukazały się: „*Gawędy*“ Pruszkowej, które podobały się ogólnie. Wkrótce potem pomieściła ona w tem samym piśmie drugą swoją pracę „*Elżbieta Družbacka*“.

Pracowita i pełna chęci służenia swojemu społeczeństwu, pisywała bardzo dużo, pisywała dla wszystkich: dla ludu i inteligencyi, dla dorosłych i dzieci.

W roku 1856 poczęła wydawać pismo dla dzieci p. t. „*Rozrywki dla młodocianego wieku*“, jakby dalszy ciąg *Rozrywek* Hofmanowej.

Pamiętam owe wieczory, gdy matka moja kładła przed nami na stole długą białą książkę, na której wierzchniej kartce czytałam wyraz *Rozrywki*, z jaką radością wyciągałam zawsze pierwszą rękę po tę książkę, bo też tak piękne wiersze i powiastki czytywałam w niej, a najpiękniejsze nosiły podpis Seweryny Pruszkowej.

Pamiętam, jak pragnęłam poznać znaną autorkę. I stało się zadość życzeniom dziecka, ale długo na to czekałam.

W domu moich rodziców był zwyczaj, iż na dokończenie edukacyi, ojciec wiozł nas za granicę, byśmy trochę świata poznały.

Przyszła na mnie kolej: miałam lat piętnaście; ojciec wybierał się do Karlsbadu, zabrał mnie ze sobą; po drodze zwiedziłam Kraków, Pragę czeską i Wiedeń.

W Karlsbadzie bawiła w tymże roku pani Seweryna, byłam jej przedstawioną...

Nigdy nie zatrze się w mej pamięci postać tej kobiety.

Wkrótce po śmierci pana Pruszkaka, pani Seweryna osiadła w Paryżu i tam w lat kilka wyszła za męża za znanego historyka, Franciszka Duchńskiego.

Państwo Duchńscy prowadzili w stolicy Francyi dom otwarty; oboje byli bardzo gościnni, szczególnie dla rodaków. Ci co u nich bywali, mówili, że czuli się u nich, jak w ognisku najbliższej rodziny.

Do końca życia pani Duchńska nie złożyła pióra; była też ciągle stałą współpracowniczką *Wieczorów Rodzinnych*. Nie marzyłam wówczas w Karlsbadzie, że z czasem będę miała prawo liczyć się do jej koleżanek.

Zbogaciła literaturę ojczystą nie tylko własnymi utworami, ale pięknymi przekładami wielu





„Pan Tadeusz” na scenie. Obraz ostatni.



cenniejszych poematów i dramatów francuskich i hiszpańskich.

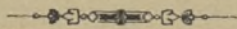
Do końca życia zachowała wrodzoną sobie uprzejmość i wesołość; do końca życia sprawy drogie a szczególnie sprawy kraju całego, obchodziły ją żywo; do końca życia ulubionym jej kolorem był kolor biały i w białych szatach chodziła bardzo często nawet w późnej starości.

Umarła mając lat 90, choć prawie lat kilka nie wstawiała z fotelu, nie przeczuwano śmierci tak rychłej. Były to same wakacje, rodzina przebywała w kraju, znajomych nie wielu było w Paryżu; stara, nieodstępna służąca, gdy pani powiedziała jej, że czuje się gorzej, przestraszona po pomoc pocięła.

Wróciła pośpiesznie z doktorem, lecz dusza Seweryny już uleciała do Stwórcy.

Pochowano ją w Paryżu na cmentarzu Montmorency.

Cześć jej pamięci, wdzięczność za jej pracę.  
*Teresa Jadwiga.*



### Z poezji Seweryny Duchńskiej.

## OJCZE NASZ.

Codziennie jasną witając zorzę,  
Błagamy Ciebie:

Racz spojrzeć na nas, Ojczy i Boże,  
*Któryś jest w niebie,*

✱

Na zasmucone nasze powieki  
Spuść łaski zdroje,

Świeć się, o Panie, na wieków wieki,  
*Świeć Imię Twoje!*

✱

Obdarz nas hojnie dary świętymi  
Ku Twojej chwale,

Przyjdź *Twe królestwo*, na smętnej ziemi  
Zarządzaj stale!

✱

Czy zła przygoda, spotka nas w drodze  
Czy błysnie dola:

W niebie, na ziemi — w smutku i trwodze  
*Bądź Twoja wola!*

✱

Ty w miłosierdziu Twem nieskończonym,  
Spuść rosę z nieba,

Niech Twym oraczom w pracy złaknionym,  
*Nie braknie chleba!*

✱

Odpuść nam grzechy, Zbawco jedyny,  
My je wyznajem!

Oświeć nam serca, — jak bratnie winy  
*Odpuścić wzajem!*

✱

A gdy pokusa zwiła nam w pęta  
Ducha słabego,  
O! niech nas Twoja moc niepojęta  
*Zbawi od złego!*



## OLSZTYN.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH AKTACH.

Scena 2-ga aktu II-go.

ZOFIA (*żywo*).

Szwedzi tu, ku naszej stronie,  
Cwałem z prawego zawrócili skrzydła.

WOJSKI (*z trwogą*).

Co, ku nam pędzi ta zgraja obrzydła?

CHORAŻY.

Ufajmy w Bogu! już Olsztyna skały  
Grad kul ognistych nieraz odtrącały,  
A stoją cało! Pomnę on dzień trwogi,  
Gdy nasz Karliński, na czele załogi,  
Odparł ztąd groźne hufce Rakusza.

Do powieści «Król przestrzeni».



«Albatros» nad Paryżem. (str. 469).



## · STAROŚCINA.

Drogożto, bracie, przyszła mu wygrana!

CHORAŻY (z wrastającym zapalem).

O! wszak mu zbrodnią, niesłychaną w świecie,  
Porwał z kołyski wróg jedyne dziecko,  
I na ojcowskie wystawił je działa;  
Pomnę, jak matka przybiegła struchlała,  
Jak u nóg męża tarzała się w prochu.  
Cała załoga czekała w popłochu  
Na rozkaz wodza. On straszne rzekł słowo!...  
Lecz działa milczą,— brzmi rozkaz na nowo,  
Ale żołnierstwu lont wypada z ręki,  
Serca im wątłą macierzyńskie jęki.  
Wódz spojrział w niebo:—Jam zaprzysiągł wiare—  
Na głos zawoła — i spełnię ofiarę!  
Porwał płonący lont z ręki żołnierza,  
Blady i drżący, sam działa wymierza;  
Wtem huk się rozległ, błysk olśnił nam oczy,  
Upadła matka... krew Rakuzka broczy  
Brzegi strumienia, a z nią po dolinie  
Dziecka Karlińskich krew niewinna płynie!...  
Pierzcha wróg, ojciec oplakuje syna,  
Ale nasz sztandar wieje z wież Olsztyna.

(Do Zofii).

Mów! co tam widzisz?

ZOFIA.

Już Szwedy zasłały

Całą dolinę, już suną pod wały.

WOJSKI.

Boże! ratunku!

CHORAŻY (do domowników).

Co żywo do broni!

(Wybiega, a za nim słudzy).



## Do dziewczęcia.

Kędy rankiem w szczerem polu,  
Wiatr żyznemi chwieje kłosa,  
Błysnął świeży kwiat kąkolu,  
Usrebrzony w krople rosy,  
I przez cały dzionek Boży  
Krasną pysznił się koroną,  
Lecz nim zagaśł promień zorzy.  
Schylił głowę uznojoną.

—\*

W noc miesięczną, w noc majową  
Błysła gwiazda na przestrzeni,  
Złoto z barwą purpurową  
Cudnie mruga z jej promieni.  
I nadciągnął obłok blady,  
Mgławym przyćmił gwiazdę mrokiem,

Rubinowych błysków ślady  
Nadaremnie gonię okiem.

—\*

Z ponad miedzy, w lot do góry  
Chyże skrzydła wzbił skowronek,  
Uganiając złote chmury,  
Czciliw piosenką Boży dzionek.  
Ale przyszły dni zamieci,  
Sennie, blado słońce płonie,  
I ptaszyna szara leci  
Szukać wiosny w innej stronie,

—\*

Dziewczę, świeże twe jagody,  
Jakby kwiat co płonie w życie,  
Lśni twe oko wśród swobody,  
Jak ta gwiazda na błękicie.  
O, dziewczeczko! pieśni one,  
Co w majowe nucisz ranki,  
Czyste, ciche, nieskażone,  
Jak skowronka brzmią wiośniarki.

—\*

Lecz gdy przyjdą letnie skwary,  
Gdy znój zmiecie krasę z lica,  
Cień nad czołem przemknie blady,  
Mętą zajdzie łąż żrenica.  
A żałoba, gdy kruczemi  
Zaszeleści głucho pióry,  
Czyliż dźwigniesz krzyż od ziemi,  
Czy podążysz z nim do góry?  
O podążysz! nie trać wiary,  
Bóg pokrzepia ciche łono,  
Gdy piołunne zsyła czary,  
Siłą z nieba niezwalczoną.

—\*

Na pocięgę w życia bólu,  
Ze łąż, dziewczę, pomyśl skrycie:  
I ja byłam kwiatkiem w polu,  
Byłam gwiazdą na błękicie.  
Ale czemże wonie róży,  
Czem ułudne gwiazd odbłaski,  
Wobec chwili, gdy po burzy,  
Błyśnie-ć z nieba promień łaski,  
Wątek nowy w dni twe wplecie,  
Samolubne łyzy osuszy,  
I modlitwą, Boże dziecko,  
Ściągniesz niebo do swej duszy.





# Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład J. P.



(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz trzech więźniowie wraz z Roburem szybowali w przestrzeni, przelatując ponad okolicą, która wydawała się im całkiem obcą.

Uncle Prudent i Phil Evans sprawdzili na podstawie własnego doświadczenia, że przyrząd do latania, oparty na zasadzie ciężkości większej od powietrza, odpowiadał w zupełności swemu przeznaczeniu.

Przyrząd ten, obmyślony i wykonany przez inżyniera Robura, polegał na dwojakim działaniu śruby, która przy obrocie postępuje w kierunku swej osi. Jeżeli oś tkwi pionowo, balon wznosi się w kierunku pionowym; jeżeli poziomo, balon posuwa się naprzód po linii poziomej.

Długość Albatrosa wynosiła trzydzieści metrów. Z przodu i z tyłu statku umieszczone były śruby okrętowe. Prócz tego znajdował się jeszcze cały system śrub, osadzonych na osiach pionowych: po piętnaście z każdej strony pudła, i siedem w środkowej części przyrządu. Dumnie sterczało trzydzieści siedem masztów, opatrzonych nie żaglami, lecz prętami, którym maszyny, ustawione na dnie statku, nadawały ruch obrotowy, szybkości zdumiewającej.

Siłą poruszającą motor, była niewątpliwie elektryczność, lecz nikt się nigdy nie dowiedział, skąd ją czerpał genialny wynalazca. Najprawdopodobniej z otaczającego powietrza, zawsze mniej lub więcej naładowanego elektrycznością; podobnie ów słynny kapitan Nemo do poruszania swego Nautilusa brał elektryczność z otaczającej wody.

Zresztą tajemnicy tej nie zbadał ani Uncle Prudent ani Phil Evans w przeciągu całej napowietrznej wędrówki.

Załoga Robura składała się z ośmiu ludzi: z nadzorcy Turnera, trzech maszynistów, dwu pomocników i kucharza.

— Przyrząd mój — mówił Robur — do ludzi, którzy wbrew swej woli wzięli udział w jego podróży, daje mi panowanie nad przestrzenią, nad lkaryą powietrzną, siódmą częścią świata, która obszarem swym przewyższa Europę, i Amerykę i Afrykę i Azyę i Australię i oceany razem wzięte.

Biedny Uncle Prudent i Phil Evans rozpoczęli awanturniczą wyprawę na pokładzie Albatrosa. Wymawiali się daremnie. Protest ich Robur odrzucił prawem silniejszego. Musieli się zastosować do jego woli.

Albatros pędził ku zachodowi. Przeleciał ponad olbrzymim łańcuchem Gór Skalistych, ponad równinami Kalifornii, minął San Francisco, północną część oceanu Spokojnego, Kamczatkę. Oczom podróżników ukazywały się kolejno krainy Państwa Niebieskiego; podziwiali malowniczy Pekin otoczony murem poczwórnym. Potem Albatros wznosił się jeszcze wyżej, przeleciał ponad śnieżnymi szczytami i błyszczącymi lodowcami Himalajów, ponad Persją i morzem Kaspijskiem. Tu przekroczono granicę Europy i zboczono nieco z kierunku zachodniego, zwracając się ku dolinie Wołgi. Ludność Moskwy, Petersburga, Finlandyi i wybrzeży Bałtyku ze zdumieniem patrzyła na ten niezwykły statek napowietrzny.

Podróżnicy przecięli półwysep Skandynawski po linii, wiodącej od Sztokholmu do Chrystyanii, poczem skierowali się na południe, dążąc przez Francję ku Włochom. Nad Paryżem Albatros obniżył swój lot i zawisł ponad stolicą świata, rzucając na zdumioną ziemię snopy isniących promieni.

Robur i jego towarzysze przemknęli ponad Florencją, Rzymem i Neapolem; przerzynając ukośnie morze Śródziemne znaleźli się ponad olbrzymią Afryką koło przylądka Spartel. Tu znowu zmienili kierunek: zwrócili się ku wschodowi, przelecieli ponad Marokko, Algierem, Tunisem, Trypolisem aż do Egiptu. Później pomknęli ku Timbuktu, a ztamtąd przez Sudan do Atlantyku.

Trzymając się ciągle kierunku południowo-zachodniego, przelatował Albatros ponad rozległą wodną płaszczyzną. Nie straszyły go ani burze gwałtowne, ani trąby powietrzne. Zimna krew i zręczność sternika wyprowadzała zawsze z niebezpieczeństwa.

Przy wejściu do cieśniny Magellana ujrzeli znowu ziemię. Od przylądka Horn skierowali się na południe, pod nimi rozciągały się puste, bezludne krainy oceanu Antarktycznego: przebyli walkę z cyklonem i dosięgli ziemi Grahama; w blaskach wspaniałej zorzy południowej godzin kilka kołysał się balon nad samym biegunem. Poczem silny huragan uniósł go aż do zięjącego ogniem wulkanu Erebusa. Cudem zaledwie zdołali uniknąć zguby.

W końcu lipca wrócili znowu ponad ocean Spokojny. Wreszcie na wybrzeżu jednej z wysp oceanu Indyjskiego zarzucili kotwicę. Poraz pierwszy od chwili odjazdu Albatros, utrzymywany w powietrzu przez sprężyny hamujące, zawisł nieruchomo, na wysokości stu pięćdziesięciu stóp ponad ziemią.

Była to wyspa Chatham, położona o 15<sup>o</sup> na wschód od Nowej Zelandyi. Albatros musiał się tutaj zatrzymać dla naprawienia uszkodzeń, które wyrządził ostatni huragan.



Następnie Robur miał zamiar wyruszyć na wyspę X, leżącą na oceanie Spokojnym i oddaloną o 2800 mil, gdzie niegdyś zbudował swój statek cudowny.

Uncle Prudent i Phil Evans jasno sobie zdawali sprawę, że ich przymusowa wędrówka może się przedłużyć do nieskończoności. Bliskość ziemi wydała się im wyborańską sposobnością do ucieczki.

Lina przyczepiona do kotwicy miała zaledwie sto pięćdziesiąt stóp długości. Nie trudno więc było w nocy spuścić się po niej ku ziemi. z nadejściem świtu jednak spostrzeżonoby niewątpliwie ucieczkę i schwytano dezertersów.

Wobec tego nieszczęśliwi jeńcy zdobyli się na pomysł zuchwały: oto postanowili zaopatrzyć się w nabój dynamitowy, który można było wziąć niepostrzeżenia z zapasu amunicji Albatrosa i wysadzić w powietrze statek wraz z jego załogą i Roburem. Mieli nadzieję, że, nim lont się spali, oni zdążą spuścić się po linie i z ziemi przyglądać się będą zniszczeniu Albatrosa, z którego nie pozostanie nawet szczątków.

Zamiar swój wykonali. Zapalili lont i ostrożnie spuścili się na ziemię. Lecz ucieczkę ich zauważono natychmiast. Z pokładu rozległy się wystrzały, szczęściem jednak nie dosięgły żadnego z uciekinierów. Wtedy Uncle Prudent przeciął linę. Albatros zaś, porzawiony ściągnięciem hamujących uniesiony wiatrem i zmiażdżony wybuchem miny pogrążył się w falach oceanu Spokojnego.

Od czasu owej nocy z 12-go na 13-ty czerwca, kiedy Uncle Prudent, Phil Evans i Frycolin po wyjściu z Instytutu Weldona zginęli bez śladu, nie słyszano o nich ani słowa. Nikt się nawet nie domyślał co się z nimi stało. Udział Robura w tajemniczej sprawie zniknięcia oczywiście nikomu nie mógł przyjść na myśl.

Koledzy szanowanych powszechnie członków Instytutu niepokoił się ogromnie o ich los.

Rozpoczęto poszukiwania, udając się nawet o pomoc do policji. Powysyłano depeche na wszystkie krańce świata, nawet wyznaczono nagrodę w kwocie 5000 dolarów za jakąkolwiek wiadomość o zaginionych. Lecz wszystkie te zabiegi nie przyniosły żadnych rezultatów. W całym państwie panowało ogromne zainteresowanie. Chwile te zapamiętałem wybornie.

(d. c. n.)

## „PAN TADEUSZ” na scenie.

Chociaż przeróbka dla sceny poematów epicznych, jakim jest to arcydzieło naszej literatury, nie może nigdy mu dorównać i przedsta-

wić wszystkich piękności utworu, jednakże z prawdziwym zadowoleniem i wzruszeniem oglądaliśmy w Filharmonii kilka obrazów, wyjętych z „Pana Tadeusza” i kilka postaci, tak drogich naszemu sercu, jak ks. Robak, Gerwazy, Sędzia itd.

Pięknie też dźwięczał w ustach aktorów wspaniały wiersz, to wesoły i rubaszny w opowiadaniach Wojskiego lub kłótni asesora z rejentem, to rzewny w pożegnaniu Zosi z Tadeuszem, to podniosły i tragiczny w spowiedzi przedśmiertnej Jacka Soplicy.

Podajemy tu ostatni obraz sztuki, wyjęty z XII księgi, a mianowicie fragment, w którym po grze Jankla na cymbałach zaczyna się polonez.

«Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza,  
I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza  
I wąsa podkręcając, podał rękę Zosi,  
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi.  
Za podkomorzym szereg w pary się gromadzi;  
Dano hasło, zaczęto taniec: on prowadzi.»

Za Zosią postępuje Telimena, a na prawo siedzą pogodzeni Gerwazy ze swym Scyzorykiem i Protazy.

«Brzmia zewsząd okrzyki:  
Ach, to może ostatni! patrzcie, patrzcie młodzi,  
Może ostatni, co tak poloneza wodzi!»



Z. Morawska.



## Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Ochłodziło to zapęły rozprawiających, a też i znużenie czuć im się dawało.

— Takeś mi bracie przypadł do serca, że zdajesz mi się rodzonym, a też i słowa wypowiadaś, jakoby te, co mi w duszy drzemały, — ozwał się Rej, nasadzając szelkniejszą czapę na uszy.

— Hm, — uśmiechnął się propagator kalwinizmu z zadowoleniem.

— Żaden nasz klecha tak gorąco nie prawi — chwalił Rej.

— Bo też i o tak pilnego słuchacza, jak waszeć trudno — pochwalił pastor.

Aż i na wschodzie podświtywać zaczęło, chwila jeszcze, a dzień miał się zbudzić.

Lecz od wejścia jutrenki pilniejszymi snąc okazali się ludzie z pod wiechy na Floryańskiej, bo przez szczeliny zasuwu u okna błysnęło światółko.

Rej nie wiele się namyslał, uderzył w zasuwę główną, mieczyka a potem silnie pięścią poprawił.

— A cóż tam za ranny ptak! — ozwał się głos ze środka.

— Otwieraj do stu kop groszy praskich! — krzyknął Rej potężnym swym głosem.



Chwila wszakże upłynęła, nim rozkaz spełniono. Zamiatano bowiem winiarnię, a właściciel jeszcze ostatniem chrapnięciem się posilał. Zerwał się wszakże, boć w czasie takich uroczystości zacny gość mógł się trafić a z nim splendor i zysk dla domu. Wprawnem okiem obrzucił przybyłych i poznał, że nie z byle kim ma do czynienia.

— A cóż to za szczęście dla mego domu, że tak zacni ichmoście zaraz z jutrzeńką w moje progi wstępują! — zawołał, kłaniając się i owijając baranią opończą, którą na prędcie narzucił.

— Ani wiesz, i ani przeczuć możesz, jak zacnych i do jakiego stanu należących los ci zdarza gości! — rzekł Rej, rzucając na ręce pacholka felpową lisami pedbitą delię.

— Miodu, a najlepszego! — rozkazał, grzejąc ręce przy płonącym w kącie izby kominie.

Budny rzucił się na pierwszą lepszą ławę a podparłszy głowę na rękach, zapadł w drzemkę czy zamyslenie.

— Hm, hm! — pomrukiwał Rej, chodząc to przystając.

Wniesiony miód w kilkogarnkowej dębowej beczulce i dwa potężne blaszane kubki, zbudziły zamysłonego pastora i rozjaśniły oblicze Reja.

— Za wasze zdrowie! — zawołał, podnosząc w górę kubek i trącąc się z zaproszonym.

Napitek orzeźwił ich i rozgrzał. Gwarzyli coraz głośniej, potem coraz ciszej i mniej zrozumiale, aż obu służba zabrała do alkierza i ułożyła na przygotowanych ku temu a wilczemi skórami okrytych ławach.

Gdy się obudzili, słońko, które przedarło się przez chmury i dość jasno przez dzień cały świeciło, znów do snu się układało, świat znów szarzał w pomroce, kładąc długie cienie na pobielonych śniegiem ulicach, — mróz poznać kwiatami maleńkie, wgłębione w mur, błoną przysłonione okienka, przez które gdzieś błyskało już światło ogniska.

A Rej, wracając do gospody, gdzie się z całą służbą roztasował, rozmyślał:

— Niech jeno trochę się ze sprawami domowemi uporam, pocznę pisać katechizm dla kalwinów... toć ta nauka jakby mi z pod serca a z duszy wyjęta... dawniej już to sobie rozważałem...

— W katolickiej wierze są też rzeczy, które mi do duszy trafiają i całym mną nieraz do głębi wstrząsają, jeno ten Gamrat biskup, co z królową intrygi sięje a kabzę napycha, brrr! — wstrząsnął się, nie wiedzieć czy z chłodu, czy też na intrygi Gamrata.

A idąc dalej myślał dalej i myśli te według swego zwyczaju na poły głośno wyповідаł:

— Tak, tak, noga moja za panowania tej włoszki tam nie postanie — mówił dalej — wytrząsając ręką w stronę zamku — wrócę do Nagłowic i będę pisał, a tak wszystko złe wytknę, taką im kurczę skroję, że im i wszyscy święci nie pomogą... — myślał wciąż na pół głośno.

Ludzie zaś, których coraz więcej poczęło roić się na ulicach, mówili oglądając na niego:

— To ci pobożny wraca znać z zamku, a pacierze po drodze odmawia.

## XXVI.

*Jako imć Rej znakomitym osobom umie  
zawsze trafnie odpowiedzieć.*

— Jasiiek, toś ty widzę nietylko na uczonogo, ale na pana wyszedł! — zawołał Rej, znalazłszy Chudzinę w wielkiej izbie papierami zawalonej, obok której było kilka mniejszych, gdzie młodzi ludzie, pochyleni nad księgami, pracowali.

— Mikołajek, Boga mi, Mikołajek! — zerwał się Chudzina, ściskając tak serdecznie, jak nigdy, dawnego swego ucznia.

— A toś mi w sam czas przyszedł, toćem sobie już nie mało głowy nałamał, gdzieby cię znaleźć, a nawet i j. wielmożny kanclerz w tem mi pomagał — mówił Jasiiek wielce rozradowany, przyczem nie mógł spokojnie usiedzieć, jeno to wstawał, to siadał, to kamieniem, których kilkanaście na stole leżało, księgi i papiery przyciskał.

— Pii! w wielkiej amicycyi znać z persónami ostajesz, kiedy ci w szukaniu mnie dopomagają!... — mówił Rej, przypatrując się rozradowanej, choć po dawnemu wychudzonej fizynomii Jaska.

— Gadajże, co za kanclerz? — dodał ciekawie.

— Najprzewielebniejszy biskup krakowski Piotr Tomicki a mój miłościwy patron, którego głównym sekretarzem, a jak on, prawą ręką się mienię... — odrzekł z uśmiechem wielkiego zadowolenia Jasiiek:

— Piii! — zdziwił się znów Rej, mrugając jeszcze więcej oczami i przypatrując się jeszcze baczniej Jaskowi.

— A cóż ty z nim w tych papierzyskach się porasz? — spytał.

— Ba, a jakie to papiery! toć najprzewielebniejszy każe spisywać, co się jeno dzieje, wszelkie mowy znakomitych osób tak swoich, jak i tych, co z obcych krajów na dwór się zjeżdżają, a też i wszelkie postanowienia królewskie...

— No, no! — podziwiał Rej, któremu coś, jakby zazdrość koło serca kręcić się poczęła, że Jasiiek w takich wielkich sprawach ugrzązł i radę sobie daje, a on nie może wymiarkować, jaka nauka jest lepsza: Kalwina, czy Lutra i do którego by przystać.

— Niechaj! — pomyślał głośno, i odładowując na bok zastanawianie się nad tem, co go od niejakięgo czasu trapiło, zapytał:

— Ale gadajże, na com ci tak wielce potrzebny?

— Z Nagłowic wracasz? — spytał w miejsce odpowiedzi Chudzina.

— Gdzie tam, od dwóch lat bez mała nad Dniestrem przy hetmanie Sieniawskim się poram — odrzekł Rej.

I zaraz, patrząc pilnie na Chudzinę, dodał:

— Czemu o Nagłowice się pytasz?

Chudzina sponsował jak borówka po przy-mrozku i poczał:

— Bo, bo...

Rej uśmiechał się i mrugał coraz zważiej. Az Jasiiek chwycił go w pół i schylając głowę do jego ramienia, wyjąkał:



— Chciałem was prosić na wesele...  
 — A Elżbietka!? — krzyknął Rej.  
 — Z Elżbietką...—mówił Chudzina, kryjąc głowę jak dziewczyna...  
 — I bez mego pozwolenia! — oburzył się Mikołaj, jako opiekun, pozostawiony nad nią z woli rodziców.  
 — Właśnie o to pozwolenie chodzi...—wybąkał Jasiak.  
 — No, no, patrzcie acaństwo... niedawno to był skrzat, co jeno jagiełki zbierać umiała, a teraz!... — mruzczał do siebie Rej, chodząc po izbie.

— Abo i ten — dodał, stając przed zakłopotanym sekretarzem kanclerza — hm, miał ostać księdzem, a teraz!...

— A może Elżbietka do ciebie niema woli? — spytał nagle, mrugając dowcipnie oczami.

— Ma.. — wyszeptał skromnie Chudzina.

— I kiedy się to porozumiało... i bez mojej wiedzy...—mówił, puszczając się i przybierając powagę, jakby miał ze sześćdziesiątkę.

— Ale niech was tam! daję moje błogosławieństwo, — mówił, wyciągając ręce ku głowie Jaska.

— I wioskę w tenutę bezpłatną na lat dziesięć! — dodał, pokręcając skąpego wiecznie wąsa.

Chudzina skłonił mu się do pasa i objął znów serdecznie uściskiem.

— A któż wam ślub da, kiedy nasz dobrodziej z Topoli już ziemię gryzie? — spytał Mikołaj.

I pomimo woli łzy mu się w oczach zakręciły.

— Oj, prawda, że dobrodziej!—westchnął serdecznie Jasiak.

— Aleć przecie znajdzie się ksiądz do tego sakramentu... — dodał.

— Prawdać, boć księży waszych nie brakuje! — rzucił Rej z lekceważeniem.

Ozwanie się Mikołaja niemile uderzyło Chudzinę, zmienił też zaraz rozmowę i rzekł:

— Muszę j. wielmożnemu kanclerzowi donieść o waszem przybyciu. A może zechcecie mu się przedstawić? — zapytał.

— Tiii, gdy zechcę... — odparł Rej obojętnie, nie przyznając się zgoła, że był wczoraj na uroczystości w zamku, kanclerza zdala oglądał, ale nie miał sposobności doń się zbliżyć. I znów zazdrość zakolatała do jego serca.

— Taki Chudzina, taki biedak i gdzie on to zaszedł...

A drugi głos mu szepnął:

— Pracował, uczył się i lat młodzieńczych na baraszkowaniu i hulance nie sponiewierał..

Więc potarł czoło, targnął wąsa i mruknął:

— Ho, ho, i ja też nie byle, niech jeno to wszystko, co mam w myśli wypiszę.

Głośno zaś rzekł:

— Kiedyż myślisz o weselu?

— Jak najprędzej! z łaski j. wielmożnego kanclerza mam izbę, wikt i kilkanaście czątych, zapewnionych z waszej dzierżawy, to i czegoż zwlekać... — odparł Chudzina, coraz więcej się ośmielając.

— Bo i prawda! — przyświadczył Rej.

I westchnął jakoś. Stała mu bowiem w myśli Zofia Kosnowna.

— A nuż mi ją kto capnie z przed nosa!... — rzekł w sobie.

A głośno:

— Na dworze j. wielmożnego Tęczyńskiego byleś?

(D. c. n.)



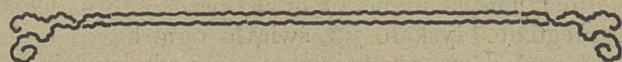
## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wszystkich, którzy zapytywali o konkurs rysunkowy, zawiadamiamy, że już został rozstrzygnięty i sprawozdanie będzie ogłoszone w numerze następnym.

Trafne rozwiązania zadań i łamigłówek z ostatnich numerów nadesłali: Perpetuum mobile, Quintus, Stasio Marecki, Józia W. Najmłodsza, Filolog i Kazio Rz.

Quintusowi. Tematy w zadaniach powinny być bardziej swojskie; po co szukać jakichś mało znanych miast w Azji, kiedy mamy tyle własnych. Do rebusa trzeba robić kliszę cynkową sposobem fotograficznym, rysunek musi więc być poprawny, czego o twoim powiedziec nie można.

Sprostowanie. W ostatnim (38-ym) numerze zakradła się pomyłka w podpisach pod rycinami do artykułu: „Ostatnie zaćmienie słońca“. Pod górnym bowiem rysunkiem (str. 457, prawa szpalta) powinien być napis: plamy świetlne sierpowate, a pod dolnym — plamy świetlne okrągłe. Omyłka to była widoczna i uważniejsi czytelnicy sami ją zapewne spostrzegli.



## Poszukuję lekcji lub korepetycji.

Wiadomość w redakcyi „Wieczorów Rodziny“ od 10 rano do 6 ej po południu.

## TREŚĆ:

Seweryna Duchńska (z portretem) przez Teresę Jądwigę. — Z poezyi Seweryny Duchńskiej: «Ojciec nasz», «Olszyn», «Do dziewczęcia». — Król przestrzeni przez J. Verne'a (z ryc.)—«Pan Tadeusz» na scenie (z ryc.)—Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską.

Dodatek: Ptaki odjeżdżają (wiersz z ryc.) — Dlaczego ptaki odlatują?— Pszczółka (wiersz) przez Sewerynę Duchńską.— Dzielny Jędrus, przez J. Piasecką.— Gra towarzyska, przez Ałs. — Zadania i łamigłówki.

## Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z ódnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, poczta rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

Redaktorka Ludwika Hauke. Wydawczyni Marya z Chomentowskich Ballńska.